Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

15. Marca 1856. **№ 33.** **Rok trzeci.**

Sierota wielkiego świata.

V.

(Ciąg dalszy).

Kilka chwil po odejściu Jankla i Przyręby przybiegł Gustaw do Adolfa, uwiadomiony o przyjezdzie starego kapitana. Czułe były przywitania i uściski, obaj rozpłakali się. Kapitan płakał, bo mu Gustaw żywo jego dawnego przyjaciela przypomniał, a Gustaw płakał z nadzwyczajnego rozdrażnienia nerwów, w jakie wprawiło go jego położenie.

Otarłszy oczy, stary kapitan założył okulary i począł się swoim wychowańcom przypatrywać. Długi czas trwała uroczysta cisza, poczem ozwał się kapitan:

— I pół roku jeszcze nie ma, gdy was po raz ostatni widziałem, a jednak zmieniliście się nie do poznania. Gucio zupełnie teraz ojca przypomina, jak dwie krople wody. Tak samo wyglądał, gdy się starał o rękę przyszłej swojej żony. Jest temu górą lat trzydzieści. Pamiętam jak dzisiaj. To samo śmiałe, otwarte czoło, oczy niespokojne, przeszywające. Te usta zawsze spalone jakąś gorączką, która mu ani na chwilę nie dała spokoju, tylko nieustannie go trapiła. Nawet cały charakter, kubek w kubek. Szedł wszędzie śmiało, na oślep i nigdy się nie cofał. Pamiętam, co to kłopotu było z tem żenieniem! Rodzice panny byli to ludzie majętni i wysokiego stanowiska. Długo opierali się temu, używali różnych intryg, ale to wszystko nadaremnie. Ojciec przeparł wszystko i postawił na swojem. Ale jakoś Bóg niepobłogosławił mu. Nieszczęścia, choroby spadły na ich głowy, ojciec lubił trochę szumieć, więc przeszumiało się i grosz i zdrowie, a zgryzoty domowe dokonały reszty. Panie, świeć mu nad duszą jego!...

Znowu nastąpiło milczenie. Gustaw zrozumiał opowiadanie kapitana, i wiedział do czego to dąży. Po chwili ozwał się:

— Umiem ocenić delikatność naszego opiekuna, i najmilej przyjmuję podobne napomnienia, tem bardziej, że wiem z jakiego serca one pochodzą. Tym razem jednak nie bardzo słusznie podejrzywasz mnie panie kapitanie o błędy, do których się wcale nie poczuwam.

— Już to zawsze do błędów ludzkiej natury należy, mój Guciu, że chcemy się drapać co raz wyżej, nie myśląc, czy nam tam na górze będzie wygodnie.

— Nie, drogi panie kapitanie, jest w tem wprawdzie rozum, ale rozum stary, który wszędzie chce widzieć taką subordinacją, jaka jest w szeregach. Dzisiejszy świat nie zasadza się na ruchach automatycznych któremi przypadek kieruje, ale idzie za wolą ludzką, która nim włada. A ta wola musi być silna i śmiała, inaczej cofną się wszystkie sprężyny.

— Upadłeś Guciu, upadłeś, a ten ironiczny twój uśmiech jeszcze bardziej mnie zasmuca. Nie przypadek to kieruje światem, ale palec boży, opatrzność jego!...... Przyjdzie czas że tej opatrzności kiedyś zapragniesz, ale jej wtedy nie znajdziesz!... Nie mam ja ci za złe, że patrzysz do góry, bo już to człowiek nie patrzy w ziemię jak zwierzę, i ja w szeregu wzdychałem za szewronem i epoletami, ale tego trzeba się dobijać zasługą i pracą, to wtedy i wyżsi przyjmą cię między siebie, i szanować cię będą. A ty chcesz dzisiaj pozorem wszystkich oszukać, i może to ci się na chwilę uda, ale w końcu przecież poznają się na kontrabandzie.

— Nie chcę ja tam bynajmniej być kontrabandą, bo toby mnie poniżyło. Przedewszystkiem idzie mi tylko o pozycją, a dostąpiwszy jej, okażę, że pojąłem moje stanowisko.

— Daj Boże, daj Boże! Nie mam ja wcale zamiarów zwracać cię z tej drogi, chociaż nie bardzo wierzę, aby cię ona do celu zaprowadziła. Oto na dowód że ci i na tej drodze chcę dopomódz, przywiozłem ze sobą oszczędzony mój grosz, i wiem, że ci go jest potrzeba.

Gustaw zapomniał o perorze kapitana i rzucił mu się na szyję. Mówił wiele o wdzięczności dozgonnej, i że z upragnieniem wygląda tej chwili, gdzieby hojnie wynagrodzić mógł wszelkie te ofiary, jakie tak zacny opiekun dla jego wychowania był poniósł.

— A ty mi nic nie obiecujesz? zapytał kapitan stojącego opodal Adolfa. Prawda, tyś mnie nic niewinien, boś ty musiał sam dla siebie pracować.

Adolf przystąpił do kapitana, wziął go za rękę i rzekł z rozczuleniem:

— Aleś mnie do pracy zachęcił i drogę do niej wskazał, kochany opiekunie!

Kapitan nic nato nie odpowiedział, tylko z uwagą wpatrywał się w Adolfa.

— Tak samo wyglądała matka, mówił półgłosem do siebie, ten spokój duszy, ta szlachetność i dobroć serca. Nawet w ustach jest coś z jej melancholji...

— Kapitanie, ozwał się Adolf po chwili, ja nie mam przed sobą wielkich, świetnych widoków, nie mogę ci obiecać godnego twych ofiar wynagrodzenia, ale mam, co mi potrzeba, a nawet i na wygody wystarczy. Zostań u mnie, kochany kapitanie, a będziemy ot tutaj przy kominku gawędzić o dawnych czasach, jak to bywało!..

— Ot, dajcie mi pokój z waszem miastem, mnie tutaj duszno i ciasno, jakby mnie w skrzyni kto zamknął, chociaż dla was jest tu świat szeroki i rozległy. A mnie na cóż rozszerzać sobie dzisiaj światu, gdy on już coraz więcej maleje w oczach moich? Dzisiaj już i Sobkówka wielka dla mnie, bo im dalej w starość, tem więcej skupia się człowiek, tem więcej zsycha serce jego, marzenia, któremi niegdyś cały świat napełniał, wracają do niego i maleją, a w końcu tylko tyle miejsca potrzeba mu na świecie, ile jego ciało zajmie!... A i w grobie nawet zrobi mu się przestrono, jeźli nie weźmie z sobą cnót chrześciańskich i uczynków dobrych...

Nastąpiła chwila milczenia. Obaj bracia zadumali się, zapewnie myśleli o tem, czy i im nie będzie kiedyś w grobie za przestrono!...

— Kochany kapitanie, ozwał się po chwili Adolf, wielką nam krzywdę wyrządzasz, oddalając się od nas, a mybyśmy tak chętnie ciebie słuchali!

— Wierzę, wierzę, odpowiedział kapitan, bo wy dzisiaj lubicie czytać bajki i baśnie. A jeśli waszym zamysłom bóg pobłogosławi, a mnie zdrowia użyczy, to przyjdę kiedyś do waszego kominka, i opowiem wam rzeczy, o których wam się nigdy nie śniło, a które się przecież działy za moich czasów. I myśmy w młodych naszych latach żyli sercem i duszą, a gdy bóg zesłał nieszczęście, tośmy umieli je znosić i cierpieć. Dzisiaj tracą rozum lub życie, gdy ich jeden cierń zadraśnie, bo nie mają tej wiary, która nas dawniej prowadziła po cierniach i głogach. Wiernem sercem widzieliśmy duchów i cuda boże, czego wy dzisiaj rozumem nie obaczycie!

Rzekłszy to odwrócił się do okna dziwaczny staruszek i zostawił obu braci, pogrążonych w najdziwaczniejszych domysłach. Słowa jego rozciekawiły ich, i chętnie słuchaliby przygód tego tajemniczego człowieka, którego życie wydało im się podobne do owych ksiąg, zapieczętowanych siedmioma pieczęciami. Pewne epoki przeszłości naszej mają w sobie coś proroczego. Przeczuwamy to sercem i lgniemy do nich. I obaj bracia przeczuwali w przeszłości swego opiekuna coś proroczego dla serc swoich, ale staruszek zacisnął dzisiaj usta i więcej o sobie nie mówił. Tem tylko pocieszył wychowańców swoich, że obiecał kiedyś zasiąść przy ich kominku.

Złożywszy na drugi dzień hrabiemu winną rewerencją i rozpatrzywszy się jeszcze lepiej w położeniu wychowańców, odjechał do swojej Sobkówki, bo jakoś za samotnością zatęsknił.

Po odjeździe kapitana wrócił Gustaw napowrót do światowych swoich myśli i upoił się szałem swego powodzenia, i nie pomyślał o tem, że miała kiedyś nadejść przebudzenia chwila. Kilka tysiączków starego kapitana podnieciły ten ogień namiętności, który co raz większym buchał płomieniem. Zdawało mu się że jest drugim Napoleonem, że gwiazda jego szczęścia nigdy zagasnąć nie może. Cieszyło go to, że arytmetyczną kombinacją umiał najrzeczywistsze prawdy życia ludzkiego podchwycić i niemi dobić się wyższego w społeczeństwie stanowiska. Zakładając sobie to stanowisko, myślał że buduje kamieniem, przez czas niespożytym, że pozbywszy się zamków napowietrznych lub chatek na lodzie, buduje wielki magazyn życia, w którymby zgromadzi wszelkie i rozmaite zasoby, a on tym czasem stawiał domki z kart na śliskim stole, które lada wiatr mógł poprzewracać.

I przyjaciele Gustawa wierzyli w jego szczęście, ale w miarę jak to szczęście wzrastało, budziła się zazdrość w ich sercach, i potrzeba było tylko chwili, sposobnej aby na jaw wystąpić mogła. Nie wszyscy jednak byli dla niego tego usposobienia. Tryton i Edmund szczerze przywiązali się do niego, pierwszy że przy nim wiele korzystał, drugi złożył w szczęśliwe jego ręce całą przyszłość swoją.

Wywdzięczając się z przywiązania tak drogich mu przyjaciół, czynił Gustaw wszystko dla nich, do czego tylke zdolne było jego serce, dumne lecz szlachetne. Dla Trytona robił nawet długi, i czem mógł, chętnie mu dopomagał. Edmundowi przyobiecał jak najsolenniej, że w ten sposób sprawą jego zakieruje, iż ojca koniecznie do zezwolenia na to małżeństwo nakłoni.

W tym celu ułożył sobie plan wielki i daleko sięgający. Chciał i sam mocniej stanąć, i sprawę Edmunda ostatecznie zakończyć.

Główne zarysy tego planu były następujące: Miał najprzód nająć nowe, najwytworniejsze w mieście pomieszkanie, świeżo i wytwornie się urządzić i zaimponować gustem i bogactwem nowego swego umeblowania. Miał to być przyszły *dom* jego, do którego wkrótce miała przybyć ładna gospodyni. Inauguracja tego domu miała się odbyć świetnie i imponująco. Wszelkie znakomitości wyższego towarzystwa miały się tam razem zebrać, i aby jeszcze nową myślą to całe swoje przedsiębierstwo ustroić, zamierzył również zgromadzić w tym dniu i znakomitości innego rodzaju, ludzi zasług i talentu. Licznie pozawiązywane stosunki ułatwiały mu tę myśl genialną, i już naprzód mógł się spodziewać jak najlepszych skutków. Były to czasy zbliżenia się ludzi do siebie, i niejedni zajrzeli sobie wtedy w oczy, których stosunki towarzyskie niegdyś daleko od siebie oddalały. Do tego przybył do stolicy w tym czasie jeden z najsławniejszych artystów europejskich, któremu wszystkie stany bez wyjątku hołdowały. Gustaw zamierzył obok tego artysty ugrupować liczne i wyborowe towarzystwo, i uczczeniem tak znakomitego talentu zjednać sobie dobrą opinią w całej stolicy.

Ułożywszy sobie plan taki, udzielił go Trytonowi, aby się z nim bliżej o tem naradzić. Tryton rozbierał z wielką sumiennością wszystkie szczegóły tego planu, poprawiał i uzupełniał, co mu się w nim nie podobało, aż w końcu dojrzało dzieło, które obaj przyjaciele podziwiali, i po którym jak najlepszych spodziewali się skutków. Policzono i wymieniono osoby, spisano program całej wieczornej zabawy, która miała dać świadectwo o zasobach i wyższym guście gospodarza.

Tryton miał w tem wszystkiem być prawą ręką gospodarza, miał się zająć urządzeniem, czuwać nad porządkiem i przestrzegać formułek i towarzyskich reguł wielkiego świata. Wymieniono kilka domów wyższego towarzystwa, które sobie na wzór wzięto, aby modzie i zwyczajom w

niczem nie uchybić. Obliczono koszta, a gdy te do niepośledniej sumy narosły, nad którą Gustaw nieco się zamyślał, rzekł do niego Tryton:

— Wydatek taki niech cię wcale nie zastrasza. Dobry finansier nie powinien nigdy spuszczać z uwagi tego, w czyim interesie to się wszystko robi. Wprawdzie jest reguła ekonomii i polityki, że spektatorowie płacą koszta widowiska, które się dla nich wyprawia. Na to jednak wiele liczyć nie można. Wierzę bardzo, że podpiwszy sobie, zapragną goście jakiejś zwykłej zabaweczki. Niezapomniemy i o zielonych stolikach. Ale w tem sęk, czy można przypadkowi ślepemu zaufać?

Tryton spojrzał badawczo w oczy Gustawa. Gustaw jakoś był roztargniony, bo marzył już o owym czarodziejskim wieczorze. Nie zrozumiawszy ostatnich słów Trytona, odpowiedział:

— Zapewne, zapewne, przypadkowi zaufać nie można. Lepiej się naprzód z siłami obliczyć.

— I ja tak myślę, rzekł Tryton z rozjaśnionem obliczem, bo wcale w tem grzechu nie widzę, aby tym lekkomyślnym paniczom dać małą nauczkę. Uczyli i nas niegdyś!

— Jakto? zapytał Gustaw, nie rozumiejąc tych słów.

— Najłatwiej w świecie. Gdy się obaj porozumiemy, to ich możemy do ostatniego grosza ograć.

— Co? ograć? zawołał Gustaw i wypatrzył się na Trytona.

Zrozumiawszy wzrok Gustawa ozwał się tenże:

— Nie, nie, żartowałem tylko, któżby to brał na serjo. Jako twój finansier chciałem ci tylko dać o tem wyobrażenie, jakim sposobem ludzie lekkomyślni mogliby sobie w takim razie dopomódz. Wszak nam tego wszystkiego nie potrzeba. Mamy inne i to bardzo uczciwe źródło, aby wszystkie koszta tego wieczora pokryć.

— Cóż za źródło?

— Już to największy interes ma w tem Przyręba. Na tym wieczorze może się upiec dla niego smaczna grzanka. Pytam, z jakiego powodu nie miałby on za tę grzankę zapłacić?.. Mówię ci, ty nie uwierzysz, co tacy dorobkiewicze są w stanie poświęcić, aby się skoligacić z familią głośnego imienia, albo żeby w dom swój dostać koronę hrabiowską. Najkorzystniejszy w świecie interes. I dziesięć tysięcy nie będzie za wiele.

— Nie, nie, to być nie może, toby nie było szlachetnie.

— A któżby miał o tem wiedzieć?

— Własne nasze sumienie i przekonanie.

— Jakiż z ciebie senzat!

— Nie Trytonie, z wielu mrzonek poetycznych otrząsłem się, ale sumienia i dumy mojej nigdy się nie pozbędę. Toby mnie poniżyło we własnych oczach moich. Czynię to dla Edmunda, bo widzę że Edmund ją szczerze kocha, a jeśli ja jestem szczęśliwym, dla czegóż i on nim być nie ma? Wprawdzie nie bardzo mi do smaku ta koligacja, ale dałem mu moje słowo i dotrzymam. Nikomu nie myślę mojej przysługi sprzedawać.

Gustaw mówił z taką determinacją, takie szlachetne uniesienie malowało się na jego twarzy, że Trytonowi nic innego nie pozostało, jak cofnąć cały ten głęboko pomyślny wniosek.

Cofnął on go wprawdzie przed Gustawem, ale nie cofnął go ze swoich myśli. Zmienił tylko szyk boju, i sam dla siebie laury zatrzymał.

Pomówiwszy jeszcze o niektórych szczegółach, dotyczących się umówionej zabawy, pożegnał Gustawa.

Ludzie czynu nie rozbierają wszechstronnie swoich zamysłów, ale mają dewizę: *fortes fortuna juvat*, a co czytelniczki zechcą sobie przetłumaczyć na *„qui ne risque, ne gagne rien“*. Otóż i Tryton był takim człowiekiem czynu i z ciepłą jeszcze myślą pobiegł do Przyręby.

Przyręba rozpierał się na kanapie w kraciastym, perkalowym szlafroku i palił fajkę na długim cybuchu z ogromnym bursztynem, od którego spadał do połowy cybucha kolosalny worek z amarantowej materji, wyszywany paciorkami. W koło niego leżały próbki grochu, kukurudzy i owsa, a nawet kilka garści siana wyglądało z z pod szafki mahoniowej. Na stoliku leżała brudna ścierka, którą sam gospodarz coś obcierał, w czem mu jednak kilku żydków przeszkodziło.

Widząc wchodzącego do pokoju Trytona, zerwał się Przyręba z kanapy, a zrzuciwszy ze stołu ścierkę, wyszedł na przywitanie tak miłego gościa.

Miłym bo gościem był dla niego pan Tryton. Jak drugi Mentor oprowadzał on go po nieznanych mu drogach, uczył, wskazywał, co ma robić i jak ma sobie postępywać, aby dopłynąć do tego lądu, gdzie nań czekało złote runo szczęścia. Było to bowiem jego najmilszem i najzyskowniejszem zatrudnieniem czepiać się takich dorobkiewiczów lub młodzieży, chcącej wejść na salony stolicy, a to pośrednictwo swoje lub naukę tak umiał sobie wynagrodzić, że mógł i dosyć wystawnie i kosztownie w stolicy zimę przepędzić.

Nowy dom państwa Przyrębów był dla niego wiele obiecującą ostoją, w której mógł wybornego spodziewać się połowu. Toż nie zaniedbał korzystać z tego, był doradzcą i przyjacielem, zapoznawał i zaprzyjaźniał dorobkiewicza z mieszkającem w stolicy obywatelstwem, i umiał tyle na jego pochwałę powiedzieć, że najniewierniejszy salonowiec musiał przyznać, że pan Przyręba jest dosyć *dobrze*. Zajął się nawet encyklopedyczną edukacją dorobkiewicza, uczył go w długich zimowych wieczorach illustrowanego preferansa, który teraz bardzo w modę wchodził. Nie zapomniał także dać mu pobieżnego wyobrażenia o djabełku i innych hazardowych gierkach, bo Przyręba był w tym względzie wielki *stupidus* i prócz marjasza i kiksa, żadnej inny gry nie umiał. Rozumie się, że tę naukę odbywał za opłatą, tytułem przegranej, a biedny dorobkiewicz chętnie płacił, poczytując sobie za zaszczyt grać z człowiekiem wyższej sfery, za jakiego uchodził Tryton.

— Przepraszam, przepraszam, panie Tryton, krzyczał Przyręba, idź precz żydzie, bo cię za próg wyrzucę,.. przepraszam, u mnie nieporządek, lokaje to leniuchy, posadzka jeszcze nie wytarta, ale to człowiek w ciągłych interesach...

— To mi to gospodarz i obywatel z pana, panie Przyręba, rzekł Tryton całując siwe, szorstkie wąsy go-

spodarza, to mi prawdziwy gospodarz! Nie lubię takich panów, co to wstając rano zaraz zasiadają do toalety. Wprzódy interes z kukurudzą, z owsem, a potem czuprynę rozczesać i kwita.

— Tak, tak panie Trytonie, pan umiesz zawsze coś powiedzieć. Niech pan siada na kanapie.

— Mam wielkiej wagi interes.

— Służę panu.

— Krótko tak się rzecz ma. Rozmówiłem się z *hrabią* Edmundem i *hrabia* Edmund ma silne postanowienie, uczynić córkę pana hrabiną. *Hrabia* Edmund dotrzyma słowa, ale *hrabiemu* Edmundowi trzeba dopomódz, bo on sam nic nie poradzi.

— Żona moja wprawdzie życzy sobie tego gorąco, ale...

— Nic ale, powiedzieć sobie: tak musi być i kwita. Zresztą w tem moja głowa. Ale każdy interes, panie Przyręba, musi coś kosztować.

— Człowiek nie byłby od tego...

— Namówiłem Gustawa, że wyprawi świetny wieczór. I pan będziesz na tym wieczorze i pan Alfred.

— Ja między takimi panami?

— Już to się zrobi, z resztą dzisiaj czas nam sprzyja.. Ale Gustaw to dziwak, jemu przewróciło się w głowie, że panna Jadwiga za niego idzie, a nawet mogę panu na ucho powiedzieć, że niebardzo jest rad temu, aby Edmund z Leoncią się żenił.

— Ba i cóż robić?

— Już ja mam na to sposoby, tylko panie Przyręba... to musi coś kosztować. Będą nadzwyczajne wydatki, trzeba wszędzie uderzyć, Gustawowi, który jest w gwałtownej potrzebie, coś pożyczyć, a to wszystko musi być w sekrecie, z kąd ta amunicja pochodzi. Rozumiesz pan?

— Rozumiem... rozumiem, ale moja żona...

— Pięć tysiączków, a Edmund będzie zięciem.

— Ba, ale czy pewnie.

— Dam weksel na siebie, a zwrócisz mi go pan tego samego wieczora, zaraz po danem zezwoleniu ze strony pana Alfreda.

Przyręba wyszedł do drugiego pokoju, a naradziwszy się z żoną, wrócił do Trytona z pieniądzmi i wexlem.

Tryton podpisał weksel, a pieniądze schował do kieszeni.

— Tylko w sekrecie! szepnął przy pożegnaniu do ucha Przyręby.

Przyręba położył palec na ustach na znak wiecznego milczenia. C. d. n.

Przy kominku.

(z Hejnego).

Noc i chmurno tam na dworze,
Burza huczy, w strop uderzy,
Tu w izdebce ogień gorze,
I śród ciszy ciepło szerzy.

W krześle dumam, a w kominie
Głownia pryśnie, wiatr szeleści,
W kotle kipiąc woda spłynie,
Grając nutą dziwnej treści.

W kącie kotek pacierz mruczy,
Przy kominku łapki grzeje,
Płomień mignie, wiatr zahuczy,
A ja marzę dawne dzieje:

Z mgły pamięci wstają przodem
Dawni ludzie, czasy dawne,
Długim idąc korowodem,
Wyprawiają harce sławne.

Poczem piękne panie kroczą
Tajemniczo na mnie skiną,
Lecz w tem harlekiny skoczą,
I śród śmiechu z oczu giną.

Z dala bogi marmurowe
Mnie witają, a wpółsenny
Kwiat cudowny kłoni głowę,
Księżyc wyjrzał z chmur promienny.

Występują z ciemnej toni
Zamki i zaklęte mary,
Przodem rycerz biały goni,
Za nim lecą zbrojnych chmary.

Ledwie cień za cieniem zginie,
Nowi suną zza opłotek;
Ach! w tem woda wrząca spłynie!
Oparzony wrzasnął kotek!

Protestacja i Odpowiedź.

Wyczytawszy w dodatku do *Czasu* na miesiąc styczeń r. b. powieść z moim podpisem, pod tytułem: *Krwawe Znamie*, oświadczam niniejszem że powieść ta jest zupełnie przeinaczona, dla nędznego zysku najlepsze miejsca opuszczone, ztąd zmiany bakalarskiem piórem porobione, bez żadnego pojęcia artystycznego, bez smaku, odejmują jej nawet zaletę stylu; żeby zaś wszystko w harmonji było, zmieniono tytuł; tej samej bowiem treści powiastkę, pod nazwą „*Rodzina konfederatów*“ przesłałem był przed kilką miesiącami osobie, w Krakowie zamieszkałej, z żądaniem żeby na mój koszt wydana była. Osoba ta nadużyła zaufania mego; nigdy bowiem nie upoważniałem nikogo ani do odmian, jakie w niej porobione, ani do drukowania jej w felietonie *Czasu*, w końcu do zmiany tytułu, który niezapowiadając dalszego ciągu, całości szkodę przynosi. Umieszczam tu przedmowę, którą w dodatku *Czasu* opuszczono, a która wyświeca założenie moje.

K. S. Bodzantowicz.

Od Redakcji Czasu.

W przedmiocie pierwszego zeszytu **Dodatku miesięcznego** „Czasu" odbieramy list następujący:

Do Redaktora „Czasu".

W Krakowie dnia 8go marca 1856.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Artykuł umieszczony w N. 28 *Nowin* na r. b. pod tytułem *Protestacja*, rzuca niewłaściwe światło na redakcją *Czasu*, a gdy WW. Pan Dobrodziej wiedzieć nie możesz, co do niego powód dać mogło, poczuwam się do obowiązku, wyświecenia WW. Panu Dobr. tej sprawy.

Powieść znakomitego pióra, a nieznanego dotąd autora, została mi nadesłaną od właściciela, z upoważnieniem, abym ją podał do druku. Tytuł tej powieści jest: „*Rodzina Konfederatów*",, imię autora: „*K. S. Bodzantowicz*". Oceniając prawdziwe piękności tego utworu i zupełnie nowe typy historycznych postaci, które autor tak szczęśliwie ująć umiał: żałowałem bardzo, *że powieść nie mogła wyjść w całości na widok publiczny. Przyczyny, które temu na zawadzie stanęły, równie jak powód, który mnie skłonił do umieszczenia wyjątku z tej powieści w „Dodatku do Czasu"* (na miesiąc styczeń), wyłożyłem właścicielowi powieści, w liście za powrotną kartą oddanym na pocztę, którą tu WPanu Dobrodziejowi załączam, upraszając o jej zwrót. Dotąd nie odebrałem odpowiedzi na ten list i pod tym względem należy ta sprawa i odpowiedzialność za nią do mnie tylko. Z powodów tych nie mogę, nie będę i nie chcę się tłumaczyć nikomu po „*protestacji*" umieszczonej „*w Nowinach*".

Inna jest sprawa. gdzie chodzi o usprawiedliwienie redakcji „*Czasu*". Tu tedy winien jestem oświadczyć WPanu Dobrodziejowi, iż ja dałem ten wyjątek z obszernej powieści „*Rodzina Konfederatów*" do dodatku *Czasu*, na miesiąc styczeń, który jest w tej książce umieszczony pod tytułem: „*Krwawe Znamie*". Oddając zaś do druku ten wyjątek, położyłem redakcji dwa warunki: *naprzód, iż uwiadomi czytelników swoich, że to jest tylko wyjątek z większego utworu (co się stało) a powtóre, że po wydrukowaniu tego wyjątku, przeszle właścicielowi powieści honorarium jakie sam oznaczy*, czego redakcja przekonany jestem, że dopełni jak tylko właściciel powieści w odpowiedzi na mój list, mnie honorarium oznaczyć zechce, który pośredniczyłem w tej sprawie. „*Nędznych zysków*" jak się „*Protestacja w Nowinach*" wyraża, nie miałem na celu, gdym ten artykuł jako wyjątek z powieści podał do druku, niemogła ich także mieć i redakcja *Czasu*, skoro przystała na to, aby właściciel powieści sam oznaczyć zechciał honorarium?

Nie wchodzę w tej chwili w to, z czyjego pióra wyszła owa *Protestacja w Nowinach*. Znam moje prawa a WWPan Dobrodziej znasz swoje; będąc zaś przekonanym że niniejsze oświadczenie dla WWPana Dobrodzieja wystarcza, upoważniam Go nawet do umieszczenia tego listu w kolumnach swego dziennika, jeżeli tego uznasz potrzebę i proszę abyś przyjąć raczył zapewnienie wysokiego poważania z jakiem mam honor zostawać WWPana Dobrodzieja sługą.

Wincenty Pol.

Powtórzyliśmy protest pana *K. S. Bodzantowicza* i odpowiedź redakcji Dodatku, w tym celu aby czytelnicy oboje porównać mogli.

Pan *K. S. Bodzantowicz* narzeka na zupełne przeinaczenie swej powieści, na opuszczenie najlepszych miejsc, na zmiany bakalarskiem piórem porobione, bez żadnego pojęcia artystycznego, bez smaku, co powieści odejmuje nawet zaletę stylu, na zmianę tytułu.

W odpowiedzi ten jedyny i bardzo ważny zarzut pominięto.

W proteście p. *K. S. Bodzantowicz* mówi iż dla *nędznego zysku* opuszczono najlepsze miejsca, a dla pokazania jakiego to rodzaju były te miejsca, dołączył przedmowę, opuszczoną w Dodatku. Autor bowiem niechcąc do rossyjskiej stosować się cenzury, do Krakowa przesłał swą powieść i ją własnym kosztem drukować polecił. Powieść zaś jego wydrukowano w dodatku z opuszczeniami i przykrojeniem do zasad cenzury rossyjskiej, dla nędznego jak p. *K. S. B.* twierdzi *zysku*, aby Dodatek w królestwie i Rossji sprzedawać można.

W odpowiedzi wzięto tę sprawę za lichą kwestją o honorarjum, o które autor nie czynił pretensji, jak też nie miał pretensji do pana *Wincentego Pola*, lecz do niesumiennego przerabiacza wyjątku, udzielonego przez szanownego poetę Dodatkowi. *(Red. Now.)*

Henryk Heine.

Nikomu a mianowicie literatowi nie dano jest dogodzić wszystkim, ale żaden może z piszących nie rozbudził za życia tyle zdań przeciwnych co świeżo zmarły poeta niemiecki Heine. Podczas gdy jedni go zupełnie potępiali, drudzy wynosili pod niebiosa.

Teraz już nie żyje, teraz łatwiej o sąd o nim sprawiedliwy, bo po śmierci człowieka, jak jego własne, tak i cudze milkną namiętności, które zwykle krzywią wszelkie zdania. Dla ludzi właśnie, jakiekolwiek wyższe zajmujących stanowisko, sąd dopiero pośmiertny jest sprawiedliwy, jest stanowczy.

Dla wielkich rzeczy jak i dla wielkich ludzi, dla wielkich gmachów i wielkich posągów, by się wydały w w całej swej piękności, trzeba koniecznie perspektywy; dla rzeczy jest perspektywa przestrzeni, dla ludzi perspektywa czasu. Dziś więc dopiero zacznie się dla zmarłego poety czas słusznej odpłaty; dziś dopiero ozwą się o nim sądy bezstronne. Jakoż nie jedno się już o nim ozwało pismo, trudno bowiem nie pisać o człowieku, który pominąwszy wszelką zdań sprzeczność, należał niezaprzeczenie do znakomitości literackich.

Dla nas polaków trudniej wypowiedzieć o nim sąd bezstronny, bo zmarły poeta z przyczyn podobno osobistych, kilkokrotnie w sposób ubliżający odzywał się o polakach, przedrwiwając i karykaturując niektóre zwyczaje polskie, i rzucając niejako przez to z szczegółowych wypadków wyczerpaną potwarz na narodowy nasz charakter. Nie będziemy się wdawać w bliższy rozbiór przyczyn, jakie nim powodowały, powiemy tylko, że jakiekol-

wiek być mogły te przyczyny, takie choćby bezmyślne, choćby w chwili kapryśnej tylko ironii rzucane karykatury, dotykające całego narodu, przedrwiwające z jego nieszczęść, pozostaną plamą na promienistym talencie, plamą na Hejnego jasnej pamięci.

Jeżeli by go mogło co wytłumaczyć, to chyba ta siła przesądów narodowych, z których się żaden najświatlejszy człowiek zupełnie otrząść nie potrafi. Snać tkwiły w umyśle poety stare brednie o polakach, które usłyszał kiedy od jakiejś niańki. A z resztą czyliż on mógł poznać polaków po tych kilku może nienajlepszych próbkach, jakie mu się w emigracji zdybać zdarzyło. Jest to tak samo, jak gdyby który z polaków, jeżeliby mógł z ojczyzny wyjechać, nie poznawszy niemców, chciał wydać o nich sąd po tych wychódźcach niemieckich, których zdarzy się widzieć w Paryżu lub Londynie, goniących za groszem przez wszystkie najbrudniejsze kałuże społeczne.

A teraz wypowiedziawszy, coś my mieć mogli osobistego naprzeciw niemu, a wypowiedziawszy umyślnie na wstępie, aby nam prywata nie zawadzała, przystępujemy do wynurzenia zdań naszych o człowieku, który zanadto wysokie zajmował stanowisko w świecie literackim, aby którekolwiek z pism literackich, mimochodem tylko lub też w złej wierze o nim wspomniało.

Jakiebykolwiek były zarzuty czynione jemu jako człowiekowi i poecie, zarzuty których dotkniemy w dalszym ciągu naszego artykułu, żaden już dziś człowiek rozsądny i dobrej wiary, który ma jakie takie pojęcie o stanie dzisiejszej literatury i głównych w niej epokach i zwrotach, nie zaprzeczy, że Henryk Hejne w literaturze niemieckiej niepoślednie i zupełnie odrębne zajmuje miejsce. On w tej literaturze sam sobą stanowi odrębną epokę. On w literaturze niemieckiej pozostanie zawsze jako słup graniczny między tą mglistą, idealną romantycznością, która wraz z równie obłokową metafizyką zaległa po upadku Napoleona wszystkie głowy niemieckie, a tą literaturą późniejszą niemiecką, pełnej już i treści, prawdy i stylu żywszego, którego twórcami poniekąd nazwać by można Hejnego i Börnego. C. d. n.

Listy z Krakowa.

IV.

Ciąg dalszy.

Pan Mirecki powróciwszy z Włoch a mianowicie z Wenecji, przywiózł z swej podróży dowody prawdziwego postępu. W pracowni jego oglądałem ukończony już obraz familii rybaków włoskich, na gondoli spiewających. Wszyscy są portretowani: z tąd utwór ten cechuje się charakterystycznością. Rysunek wyborny, koloryt właściwy. Znać wpływ, pod którym był wtedy artysta. Zarzucićby tylko można brak lekkości niektórym draperjom, za żółty nieco kolor koszulom rybaków. Równie pięknych posiada parę szkiców i portretów, na miejscu robionych. Zaczęty dawniej, a który tutaj teraz wykończyć zamierza, jest ogromny obraz z historji polskiej, przedstawiający Stefana Czarnieckiego po zwycięztwie nad Szwedami, gdy mu żaki krakowskie ofiarują zebrane na ulicach kule z prośbą, aby je na wroga użył. I tu są pewne a l e; przecież w stosunku do prac, które przed swym wyjazdem robił, postęp za nadto znaczny, aby wróżyć nie można, że przy pracy i dobrych chęciach z nich się niebawem otrząśnie. Pan Mirecki jest młodym i ma dużo czasu przed sobą.

W świecie literackim wielka, uroczysta cisza, poprzedniczka zapewne wielkiego gromu. Nie wiadomo przecież nam jeszcze, z której strony on padnie. Co miesiąc tylko wybucha z drukarni Czasu cała expedycja miesięcznego Dodatku.

W styczniowym zeszycie, prócz artykułów, o których wam doniosłem, pojawiły się jeszcze: powiastka na temat dosyć już obrabiany konfederacji barskiej p. Bodzantowicza, w której autor dosyć artystycznem piórem nowe jeszcze uwydatnił charaktery. Rozprawka o Bollandystach, w której X. Xiężarski niewyczerpał przedmiotu, ledwie go dotknąwszy; zawsze miłe wiersze W. Pola, (w których bardzo trafne uwagi, zwłaszcza o tandeciarskiej literaturze), maleńki artykulik o pokoju i wojnie M. Manna, wreszcie z wszyskich stolic Europy korespondencje. Miłą jest rzeczą, gdy takowe są dobrze prowadzone, gdy w każdej koloryt miejscowy prawdziwie schwycony, być zawsze *au courant* tego, co się w reszcie świata dzieje. Wdzięczni są też czytelnicy Dodatku redakcji za postaranie się o takowe. Z pomiędzy nich niektórym właśnie tego kolorytu nie dostaje, lecz są i bardzo dobre, jak n. p. z Paryża lub Rzymu. Ten ostatni zabawną podaje anegdotkę, którą wszystkie polskie dzienniki powtórzyły, a gdy jej u was dotąd nie spostrzegłem, uważam za stosowne w całości ją podać.

Między innemi mówi on o różnych narodowcach, obecnie po Włoszech podróżujących. Przytacza, że rodzin polskich dużo w Rzymie tego roku, że Anglików nie tak wiele jak zwykle, ale natomiast podróżuje po Włoszech pan Lipke. Spytacie kto jest ten pan Lipke, Co za jeden, kto go rodzi? Chwilkę cierpliwości, a przedwszystkiem pozwolicie mi się wrócić do Ferrary i do XVI. wieku. W Ferrarze w szpitalu św. Anny pokazują loch, w którym z rozkazu Alfonza ks. Ferrary, uwięziono Tassa. Przeżył tam lat pięć kochanek Eleonory, a wychodząc z więzienia, wyrył łańcuchem, którym był okuty nieśmiertelne imie: T a s s o. Lord Byron, przejeżdżając później przez Włochy, wstąpił do Ferrary, a chcąc napisać wiersz o Torkwacie, kazał się zamknąć na 24 godzin do tego więzienia, aby sam na sam z jego cieniem przejąć się cierpieniami nieszczęśliwego poety. Poczuwając już wziętość swego imienia, na tymże kamieniu wyrył wychodząc ten prosty napis: Lord Byron. Szanowano jak relikwie w Ferrarze pamiątki dwóch wielkich ludzi, a wszystkie podpisy zwiedzających stroniły od nich z uwielbieniem. Aż tu znalazł się mąż, który nie wahał się podpisać zaraz pod spodem i to wielkiemi literami: Lipke, kupiec z Warszawy."

Z tych wszystkich korespondencji najsłabszą jest z Krakowa. Szczególną rzeczą, żeby jej autor nie znalazł w Krakowie więcej interesującego przedmiotu, jak spisywać wiadomości o tem, że ciemno wieczór na ulicy, że błoto, lub sypać morały młodzieży, nie mającej ochoty tańcować i t. p. Są to rzeczy bardzo piękne, ale jak pierwsze każdemu wiadome kto chodzi po ulicy, tak drugie stosowniejsze na ambonę, lub do nauk obyczajowych. Żadne może miasto jak Kraków nie posiada tyle ciekawego przedmiotu, któryby podnieść można, tyle nieraz wiadomostek, wielu więcej interesujących niż podobne gadaniny. A nie tylko dla obcych, ale nawet dla miejscowych mogą być one nowością; gdyż mało gdzie tak jak u nas, porozdzielana w kółka małe ludność, które nie łączą się wszystkie ze sobą, prędzej z gazety niż od siebie samych się dowiedzą, co się między niemi dzieje.

Dnia 29. lutego ujrzeliśmy drugi Dodatek za ubiegły miesiąc. Zawarto w nim kilka interesujących przedmiotów. Na czele stoi artykuł X. Goliana p. n. *Dziennikarstwo w stosunku do kościoła*, a który nie w styczniowym, jak wam donosiłem, lecz w lutowym dopiero zeszycie mógł być umieszczony. Uwag tam wiele trafnych, chęci dobrych dużo, wykazano jasno, jak wielką pomoc dziennikarstwo kościołowi i religii nieść może, tudzież jak wielką jest potrzebą obudzić na tej drodze zziębły trochę ogół w rzeczach wiary, całość jednakowoż zbyt rozwleczona. Następuje mniej ciekawa «rozmowa o protekcji i wolnym handlu« Leona Rzewuskiego, zajmujący ustęp z życia Chłopickiego p. Rom. Załuskiego, obok zaś charakterystyczny szkic życia studentów paryskich p. M. Manna.

W dziale poezji spotykamy rozbiór Hyawaty Longfellów p. K. Lach Szyrmę, tudzież nie szczególny wiersz z tego autora, przekładu F. Morawskiego. Następnie poezyjka z okazyi przesłania listka z grobu Tassa p. E. M. Pola (brata Wincentego), na którą L. Siemieński sonetem odpowiada. Tegoż autora ustęp wierszem z XII pieśni Odysei. Pana Bartł. Harbuzowskiego pod dziwacznym kryjącego się pseudonimem wyborna powiastka p. n. «Wyprawa na jarmark do Sadogóry,« napisana jest z lekkim bardzo dowcipem, a podająca dużo ciekawych, charakterystycznych szczegółów z okolic Halicza, Czerniowic. Mało obrabiana ta dzielnica: naszkicowanie więc z talentem jej świata zainteresowało mocno.

W przeglądzie piśmiennictwa p. Luc. Siemieńskiego, rzucona rękawica płci pięknej w ogóle, a piszącej w szczególe. Czy ją podniosą, niewiem; z talentem, z nauką dowiedziono tam, ile złego kobiety światu przyniosły, a zwłaszcza kobiety autorki. Dobre wpływy nie równoważą złych. Parę cukierków na końcu nie słodzą przecie zbyt gorzkiej dla nich..... czy prawdy? Niech one same obrachowawszy się z sumieniem to osądzą. Jako sprawozdawca a nie recenzent, wiem tylko, że dużo gwaru z tej przyczyny w Krakowie, a autor nowy zastęp nieprzychylnych sobie pozyskał.

Poglądem, co patrząc z góry w wypadki dziejowe plastycznie, zmysłowie uwydatnia, co rozświeca każdemu bądź śledzącemu drobnostkowe nawet zdarzenia obecnych chwil, bądź zadawalniającemu się tylko na zbieraniu ich ostatecznych wyników jest artykuł M. Manna p. n. „Równowaga europejska i rękojmie pokoju.“ Z samych nazw artykułów widzicie, że starano się o wszechstronność, że myślano o tem, aby nie pewnej liczby ale ogółu potrzebom tak się czuć dającym zapobiedz. O ile się to uda, przesądzać nie można.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

Lokaj poety. Ciekawe są losy i życie Toby-ego, który był słnżącym sławnego Chateaubrianda. Szczególny ten człowiek był jak się zdaje wielkim znawcą ludzi. Rodaków swoich znał na palcach, i wiedział że trzeba pochlebiać i kadzić kadzidłem choćby w sam nos. Tak też robił z swoim panem. Nieraz łajał gó autor Atati i Renego za to, że buty były nieczyszczone.

— Ach, panie Vicomte! odpowiedział Toby przewracając oczy, pan zna moje słabości, właśnie czytałem jedno z pańskich arcydzieł, i jak zawsze zatopiony w te cudne i nieśmiertelne poezje, uniesiony w górne strefy zachwytu, czyliż mogłem pamiętać, czyliż mogłem widzieć nawet parę butów. Ale zachwyt służącego musiał znudzić nareszcie pana Chateaubrianda, który należycie (nieprzymawiając innym poetom i pisarzom), był łasy na pochlebstwa. Poeta choć poeta, a może dla tego właśnie, że poeta, lubił się ubrać porządnie i mieć buty dobrze glansowane. Biednego Toby odprawił pewnego poranku autor Męczenników (Martyrs).

Było to może śmieszne, było i głupie nawet, ale Toby nie mógł dać sobie rady, i długo nie chciał wierzyć w rzeczywistość. Wreszcie przyszedłszy do siebie, wyrzekł z uczuciem:

— Byron nie byłby tak zrobił: ale poeci są niewdzięczni jak królowie, jak narody. Ja ich odprawiam.

I poszedł do perfumarza. Czas jakiś lepił kartki z poetycznemi nazwami do butelek i słoików, i czas jakiś szło to jakoś. Ale nie mógł zapomnieć drogich chwil dawniejszych, gdy z książką w ręku bujał po niebieskich migdałach, z krzywdą butów Chateaubriandowskich. I coraz więcej chylał głowę ku ziemi gorżko wzdychając, aż razu jednego stał za stołem z półmiskiem w ręku, a z myślą o cudnym ideałów świecie. I chciał zapewne podnieść za oczami i ręce ku niebu, by jaką wymarzoną piękność uchwycić i do serca przycisnąć, gdy nagle... półmisek upadł, i Toby został oddalony. Na pożegnanie wyrzucił z siebie całą goryczy, co mu serce przepełniała, i na łajania swego pana cierpkiemi odpowiadał prawdami o tych prostackich domach mieszczuchowskich, którzy niegodni, by im służyć.

— Ja pójdę znowu szukać pana poetę.

I zaczął tę kwerendę, w której przeszło mu całe niemal życie. Chciał się najprzód dostać do młodego Lamartina; tam mu się nie udało. Wszedł wreszcie w służbę sławnego księgarza L'Advocat, wydawcy najznakomitszego owych czasów. Toby ubrany w całą liberję, jeździł za kabryoletem nowego pana swego. To mu pochlebiało z początku, lecz wnet tylne w kabryolecie siedzenie choć dosyć wysokie, wydało mu się za niskie, stosownie do ducha, ktory go parł ku światom literackim. Zaczął więc wysiadywać w domu, i pod pozorem porządku siedział na miejscu, i czytał co mu tylko podpadło pod rękę. Przeczytywał zwykle wszystkie manuskrypta powierzone księgarzowi, i wróżył im przyszłość naprzód. Był sędzią sprawiedliwym. Nawet Chateaubriand znalazł uznanie u dawnego sługi swego.

— Niewdzięcznik! zawołał patetycznie. Ale nie można mu odmówić talentu.

Czytał więc dalej i Guizota, i Villemaina, i Cousina i Baranta, czytał wszystko i wszystkich, i nieraz zdziwił swego pana swojemi zdaniami nie małej wartości. Księgarz L'Advocat był dosyć majętnym, mógł sobie zatem pozwolić ten zbytek, trzymania sługi próżniaka, ale literata. Lecz niema szczęścia stałego na świecie. Mała niedbałość skręciła głowę Tobyemu. Księgarz wyjechał na kilka dni, a w opiekę oddał Tobyemu dóm i faworyta konia.

Toby był właśnie zatopiony w manuskrypcie P a m i ę t n i k ó w damy współczesnej, które jak dobrze przewidział Toby, narobiły tyle furoru swego czasu. Czytając i medytując, zapomniał o koniu, a koń nie rozumiejąc się na rzeczy, zdechł zgłodu. Wyszedł Toby od księgarza z rezygnacją. Przyznał winę niedbałości.

— *Mais ce cheval etoit trop pressé!* (Temu koniowi było przecież za nadto pilno!) wyrzekł na pożegnanie.

Ztamtąd dostał się do Arlincourta, ale tam nie długo popasał. Jnż mu się to nie podobało, że pani d'Arlincourt wykupuje dzieła mężowskie, aby nowemi niby wydaniami świat tumanić. Pokazuje się, że Toby miał wiele uczciwości, jak na ocierającego się o literatów. Nareszcie Arlincourt wydawał mu się za nadto małą figurą pomiędzy literatami francuskiemi. Porzucił go zatem.

Póżniej został zecerem, ale więcej czytał jak sadził liter. Zewszad go oddalano, aż nareszcie gnany nędzą, umarł śmiercią konia księgarza L' Advocat.

Toby, jako lokaj poety nie był koniecznie nadzwyczajną szczególnością. Nieraz widzimy lokai jak się w przedpokoju kłócą o pierwszeństwo swoich panów. Jedni o ich nazwisko, drudzy o majątek, a są tacy, co rozumem swoich panów się pysznią. To ostatnie rzadko się trafia, ale dla czego wielkie pytanie? Czy brak takich lokai, czy....? Lecz przerywamy, bo naprowadza nam to na myśl niezłe zdarzenie w Paryżu. Niedawno temu u jakiegoś finansowego bogacza był wieczór. Najbogatsi ludzie byli na nim. W przedpokoju czekająca na panów służba kłóciła się najzawzięciej o pieniężne swych panów pierwszeństwo. Ledwie nie przyszło do guzów. Aż nagle jeden z nich się ozwał:

— Kto się moze z nami porównać. My mamy 30 milionów złotem i tyleż srebrem w naszej piwnicy.

Był to lokaj dyrektora banku.

Wszyscy zamilkli.

Nowiny lwowskie.

* W kościele Bożego ciała OO. Dominikanów przygotowuje pan B r a u n na Wielki Piątek wielkie Oratorium „*Stabat mater*“.

* We czwartek zeszły występywał pan K ö h l e r, barytonista, w operze Donizettego „Ernani“ w partji króla po raz ostatni przed swoim odjazdem do Wiednia. Przyjęła go publiczność dość licznie zebrana, z żywym udziałem.

* Z wielkanocą nastąpią wielkie odmiany członków teatru niemieckiego.

* Już od środy rano o 9. a z południa o 4. z suplikacjami miewa ks. Odelgiewicz, wikary archikatedralny, kazania i naukę do

przygotowania SS. pokuty i ołtarza, a dziś z południa o 4. zakończy; kościół przepełniony bywa pobożnemi słuchaczami.

* Wczoraj odbyło się poświęcenie dzwonów w kościele św. Marcina przez J. Excel. Xiędza Arcybiskupa Baranieckiego z assystencją przy licznem zgromadzeniu parafianów.

* Towarzystwo muzyczne rozpoczęło próby wielkiego Oratorium „Siedm słów" Józefa Hajdena, które wykona w kościele archikatedralnym w Wielki piątek. Oratorium rozpocznie się o godzinie w pół do trzeciej po południu.

* Ekwipaże i konie wierzchowe J. O. księcia jenerała Lichtensteina już nadeszły do Lwowa.

* W niedzielę o godzinie 7mej wieczorem, w sali redutowej hrabiego Skarbka dany będzie Koncert na wsparcie funduszu szkolnego tutejszej gminy ewangelickiej.

* **Konkursa.** Kilka posad na praktykantów konceptowych przy urzędach politycznych w Morawii z pensją 300 złr. termin podania do 15go kwietnia.

Przyjechali od dnia 12. do 14. Marca do Lwowa.

PP. Zawadzki Józ. ze Stryja. Antoniewicz Win. z Skwarzawy. Kotowicz Mich. z Chorostkowa. Bal Fran. z Tuligłów. Doliniański Win. z Gródka. Zabielski Teod. z Dorohowa. Skrzyszewscy Ant. i Józ. z Sewrynki. Listowski Józ. z Kontów. Torosiewicz Emil z Szwejkowiec. Torosiewicz Fran. z Czeremchowa. Falkowski Mich. z Głuchowic. Nikorowicz Józ. ze Zboisk. Pietruski Konst. z Rudy.

PP. Victorini Ottm. z Żółkwi. Lewicki Józ. z Kościejowa. Zawadzki Wład. z Jezierny. Gottlebowie Fel. Cyr. i Win. z Dołhomościsk. Kulczycki Lud. z Mysłowiec. Korosteński Mar. z Soroki. Mysłowski Józ. z Brzeżan. Jaworski Józ. z Brzeżan. Kozaryn Fran. z Rawy. Czaykowski Jan z Boberki. Kruszyński Emer. z Zbarasza. Zubr Fel. z Zołtaniec. Hr. Mier Henr. z Buska. Szczygielski Mich. z Morowic. Zalewski Leon. z Krakowa. Sliwiński Alb. z Dombrowicy. Wybranowski Rom. z Dźwinogrodu.

Wyjechali od dnia 12. do 14. Marca ze Lwowa.

PP. Strzelecki Win. do Manasterzysk. Sozański Jan do Grabowiec. Gruszewski Mich. do Wojniłowa. Rylski Hen. do Dłużniowa. Rosnowski Fran. do Sokala. Zawadzki Ign. do Huty. Jaworowski Józ. do Kobylnicy.

Hr. Komorowski Adam do Konotop. Kruszewski Hen. do Chorobrowa. Łączyński Hip. do Liska. Lewicki Józ. do Nosciejowa. Hr. Karnick i Teod. do Gródka. Plater Stan. i Adam. do Krakowa. Michalewski Ant. do Niedzielisk. Bętkowski Fel. do Zbaraża.

Lwów, 15. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 28 złr. — kr. do 32 złr. — kr. — Żyta po 18 złr. 50 kr. do 21 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 10 złr. 40 kr. do 11 złr. — kr. Grochu po 26 złr. 15 kr. do — złr. — kr. Hreczki po 17 złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 10 złr. 30 kr. do 12 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 35 złr. — kr. — do 35 złr 25 kr. Sosnowego po 25 złr. — kr. do 27 złr. 30 kr. Cetnar siana 2 złr. 5 kr. do 2 złr. 18 kr. — Centnar słomy 1 złr. 40 kr. do 1 złr. 50 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 3 Złr. 55 kr. do 4 złr. 7 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 14. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 105 złr. .	101$^{3}/_{4}$	Pożyczka 5%	84$^{15}/_{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	74$^{3}/_{4}$	Akcye banku	1077
Londyn za 1 funt szterl.,	10.7	Kolej północna	2922$^{1}/_{2}$
Medyolan za 300 lirów	102$^{3}/_{4}$	Obl. ind.	77
Paryż za 300 franków .	120$^{3}/_{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	111$^{3}/_{8}$
Agio duk. ces.	6$^{1}/_{8}$	Pożyczka narodowa . .	86$^{1}/_{16}$

Dzisiejszy Kurs Lwowski

		Gotówką			towarem		
Dukat holenderski	złr.	4	kr.	43	złr. 4	kr	50
Dukat cesarski	«	4	»	46	» 4	«	51
Półimperyał zł. rosyjski	«	8	»	15	» 8	»	20
Rubel papierowy	»	—	«	—	» —	»	—
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	36	« 1	»	37
Talar pruski	»	1	«	30	» 1	«	32
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	10	» 1	»	11
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	85	«	15	» 86	»	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		76	»	—	» 77	«	—
5 proc. pożyczka narodowa		84	»	—	» 85	»	—
Śrebro		—	«	—	» —	»	—

☞ Do dzisiejszego Numeru dołączony jest **Dodatek**.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**



Frydryk Schubuth
we Lwowie
w Rynku Nr. 173.

poleca swój dobrze zaopatrzony skład wszelkich gatunków **woskowych świec stołowych**, białych i kolorowych świec kościelnych, powozowych, nocnych, zapałek woskowych, białych, kolorowych i żółtych stoczków, małych świeczek do ołtarzyków, kagańce smolne, wosk biały i czarny, wosk drzewny, wosk żółty do froterowania posadzek w czworograniastych i półokrągłych kawałkach. Przyjmuje także zamówienia na świece wszelkiej wielkości. Również utrzymuje skład świec **Apollo** i **Milly** stołowych i kościelnych. (D. 35. 4—6)

W księgarni
H. W. Kallenbacha
we Lwowie
jest do nabycia:

Cours d' histoire
racontée aux enfants et à la jeunesse,
par **M. Lamé Fleury.**

L' Histoire Sainte 1 Volume in 18o. Paris	1	złr.	15 kr.
„ du nouveau Testament 1 Vol. Paris	1	„	15 „
La Mythologie 1 Vol. in 18. avec gravures. Paris	2	„	— „
L' Histoire ancienne 1 Vol.	1	„	15 „
„ greque 1 Vol.	1	„	15 „
„ Romaine 2 Vol.	2	„	30 „
„ du Moyen âge 2 Vol.	2	„	30 „
„ Moderne 2 Vol.	2	„	30 „
„ de France 2 Vol.	2	„	30 „
„ d' Angleterre 2 Vol.	2	„	30 „
„ d' Amerique 1 Vol.	1	„	15 „
„ des Moeurs et des Coutumes des Français 1 Volume	1	„	15 „
La Geometrie enseignée aux enfants, avec des figures imprimées dans le texte 1 Vol.	—	„	40 „

(D. 77. 1—3.)

Staraniem i nakładem księgarni
H. W. Kallenbacha we Lwowie wyszedł:

Katalog
książek polskich

drukowanych od roku 1850, do końca roku 1855 72 str. w 8ce duż. Lwów 1856.

Cena 1 egzemplarza 30 kr. m. k.
z przesyłką pocztową 36 kr. m. k.

(D. 16 5—6)

Dodatek do dziennika „NOWINY" Nr. 32 z roku 1856.

Programm und Kundmachung

wegen der

früher vorzunehmenden ersten Ziehung

der

gräflich Saint = Genois'schen Verlosungs = Anleihe.

Das **gräfl. Saint Genois'sche** Anlehen von 3 Millionen Zweimalhundert Tausend Gulden B. V. besteht aus nur 80.000 Theilschuld-Verschreibungen à fl. 40 B. V. und wird durch Prämien-Gewinne von fl. **70.000** — fl. **50.000** fl. **30.000**. — fl. **20.000** fl. **5000**. B. V. etc. mit der Summe von **Acht Millionen Achtmalhundert Dreiundzwanzig Tausend Zweihundert und Vierzig** Gulden B. V. zurückbezahlt, und zwar enthält der Verlosungsplan die noch niemals bestandene Anzahl von 5 Treffern à fl. **70.000** — 35 Treffern à fl. **50.000** — 5 Treffern à fl. **30.000** — 5 Treffern à fl. **20.000** — 30 Treffern à fl. **5000**. — 20 Treffern à fl. **3000** — 30 Treffern à fl. **2000** — 50 Treffern à fl. **1000** etc. in Conventions-Münze.

Der kleinste Gewinn, welcher mit einem solchen (fl. 40) Los **gemacht werden muss**, beträgt fl. 65 — in Conv. Mze., und selbst dieser steigt im Verlaufe der Ziehungen auf fl. 70—75—80 C.M., — man erhält also für ein solches Los — welches jetzt noch um fl. 40 — zu haben ist, wenigstens fl. 65 — beziehungsweise 70—75—80 fl. **sicher zurück**, und spielt ausserdem auf die vorbesagten — bei ähnlichen Partial-Losen noch **niemals** dagewesenen grossen Treffer von fl. **70.000 — 50.000 — 30.000 — 20.000** etc. etc. in C.M. mit. Die Vortheile, welche sonach der Besitz von solchen Werthpapieren mit vollkommenster Real-Hypothek bietet, bedürfen keine weitere Erörterung — und fanden bereits eine so allgemeine Anerkennung, dass die erste **Verlosung dieser Theilschuldverschreibungen**, (fl. 40) Lose, welche nach dem bestehenden Verlosungsplane auf den 1. August anberaumt ist, **schon am 15. Mai d. J. stattfinden wird.**

Laut bereits erfolgter Kundmachung in den öffentlichen Blättern ist die Ausgabe dieser Partial-Lose dem bei diesem Unternehmen betheiligten Bankhause **J. G. Schuller & Comp. in Wien** übertragen, und die Auszahlung der durch den Verlosungsplan sich ergebenden Gewinne erfolgt vertragsmässig bei dem Banquierhause **S. M. v. Rothschild in Wien.**

Wien, im Februar 1856.

(D. 67. 3—3) In Lemberg sind derlei Loose bei Hr. **J. L. Singer & Comp.** zu haben.

Do P. T. Rodziców i Opiekunów.

Zaufanie, jakiem mnie rodzice i opiekunowie przez ośmnastoletni przeciąg utrzymywania konwiktu żeńskiego w Tarnowie zaszczycali, ośmiela mnie, przy zmianie stosunków rodzinnych, przenieść mój konwikt za pozwoleniem W. Rządu do Lwowa. Tuszę sobie, że i tu, jako żona, matka dwóch córek, i tyloletniem doświadczeniem wsparta przewodniczka w nauce i wychowaniu panienek jak najstaranniejszem, pozyskam zaufanie, a zarazem, czego najusilniej pragnę, zasługę według sił moich dla ludzkości położę. W tym to celu podaję do wiadomości powszechnej, iż otworzyłam konwikt wychowania i kształcenia panienek przy placu Dominikańskim pod liczbą 181. Pragnę rodzicom i opiekunom podać jedną z więcej sposobności umieszczenia córek i kształcenia tychże, do czego mię wiedzie przekonanie, iż pozyskane dawniej zaufanie nauczycielki i zastępczyni rodziców, gorliwem i sumiennem pełnieniem obowiązków urzetelnić potrafię.

Program konwiktu mego, wyszczególniający zakres nauk i porządek domowy, równie jak i warunki przyjęcia do konwiktu tak na miejscowe jako i dochodnie uczennice, doręczę przy zgłoszeniu się P. T. Rodzicom i Opiekunom.

Konstancja Łazowska,
właścicielka konwiktu.

(D. 47. 5)

Carl Schubuth,

Spezerei- und Weinhandlung

in Lemberg,

Krakauer Gasse Nr. 150,

beehrt sich hiemit einem geehrten Publicum sein wohl assortirtes Lager in Zucker, Caffee, Thee, Rum, und allen Sorten Spezerei-Waaren, Salami, Astrachan-Caviar, marinirte Fische, Sardines de Nantes, Emmenthaler-, Strachino- und Limburger-Käse, Porter, engl. Ale, Liqueure so wie alle Gattungen Weine: als Champagner von den beliebtesten Marken, Bordeaux, Malaga, Madeira, Lacrimae Christis Tokayer, Rhein-, Ungar- und Oestreicher Weine in Bouteillen zu den möglichst billigsten Preisen bestens anzu empfehlen und zugleich anzuzeigen, dass er bei seinem Handlungslokale ein bequemes **Frühstück-Zimmer** eingerichtet hat und ersucht um geneigten Zuspruch.

(D. 40. 5—5.)

Guwernantka

udzielająca gruntownie nauki języka francuskiego i muzyki, będąca w wieku i usposobieniu, w którem młodych panienek wychowaniem kierować może, szuka odpowiedniego umieszczenia. Bliższej wiadomości zasięgnąć można w domu pod Nr. 648 przy ulicy Syxtuskiej, an pierwszym piętrze na prawo, naprzeciw ruskiego seminarium.

(D. 79 1—3)